Należytość pocztową uiszczono gotówką.

Kolekcja Emila Kornasia

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu CZYTELNIA

Nr. 32. Lwów, Maj 1927. Rok IV.

PANTEON POLSKI

POŚWIĘCONY BOHATERSKIM CZYNOM ŻOŁNIERZA POLSKIEGO, KRONICE WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ PAMIĘCI I CZCI POLEGŁYCH OBROŃCÓW OJCZYZNY O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI W LATACH 1914—1921.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

LWÓW-SKRYTKA 98. — Telefon 22-90. CENA EGZ. 80 GR.

ZAWIERA: MICHAŁA LITYŃSKIEGO: Z dni grozy i walki o wolność przejścia z 1914 i 1915 r. — ST. KOCHANOWSKIEGO: O 6 p. p. Leg. Pol. — A. BŁOTNICKIEGO: Viola, opowiadanie z życia Legjonistów na włoskim froncie. — J. TATOMIRA: Wspomnienia Legjonisty „Czwartaka". — J. ROGOWSKIEGO: Dzieje wojska polskiego na Syberji. — A. MAJA: Wspomnienia Legjonisty ze służby w armji austr. — Wykaz Leg. pochowanych do 1 List. 1918 na terenie Wojew. Lwowskiego i Tarnopolskiego. — Życiorysy śp. Gen. Buchowieckiego, mjr. Dąbrowskiego i wielu innych. — Liczne wkładki i ilustracje.

MICHAŁ LITYŃSKI.

Z DNI GROZY I WALKI O WOLNOŚĆ

1914—1915

W latach przedwojennych z ogromną radością, powitałem utworzenie „Tymczasowej Komisji stronnictw skonfederowanych" t. j. trzech stronnictw, najbardziej mojem zdaniem wyraźnych w dążeniach niepodległościowych, demokracji postępowej, polskiej partji socjalistycznej i ludowców i odrazu zrozumiałem, że zanosi się na coś ważnego. Zaraz pojechałem z Czerniowiec do Lwowa i od Bronisława Laskownickiego dowiedziałem się o całej akcji zbrojnego przygotowania narodu na wszelką ewentualność. Jeszcze przedtem w zimie roku 1912 na 1913 pewnego razu bawiąc we Lwowie, miałem sposobność zetknąć się po raz pierwszy i poznać Józefa Piłsudskiego. Z moimi kolegami z zawodu i najserdeczniejszymi przyjaciółmi, dr. Michałem Janikiem i śp. Janem Schadenem, udaliśmy się pewnego dnia po kolacji na herbatę do bardzo wówczas, szczególniej przez młodzież postępową i socjalistyczną obojga płci, odwiedzanej kawiarni „Sans Souci" przy ul. Szajnochy. Zabawialiśmy się tam, przy dźwiękach miłej muzyki do dosyć późnej nocnej godziny. Było już dobrze po północy, gdy dr. Janik w atmosferze kawiarnianej, przesyconej dymem tytoniowym, dostrzegł pod jednym ze środkowych filarów siedzącego samotnie przy małym stoliku, przy herbacie, Piłsudskiego i natychmiast namówił nas, abyśmy podeszli do niego i poznali się bliżej. Zgodziłem się bez wahania i wówczas ujrzałem człowieka średniego wieku, o ciemnym dosyć bujnym zaroście, i dosyć długiej czarnej brodzie, nie badzo starannie utrzymanej. Twarz blada, jakby cierpiąca a cała postać dosyć wychudła, co wskazywało ubranie szare, dosyć obwisłe i niezbyt wykwintne. Zamieniliśmy kilka zdań, gdy Janik przedstawił mię jako gorącego zwolennika walki zbrojnej.

Komendant w polu 1916 r.

Piłsudski zbierał składkę na broń i zaraz złożyliśmy małą kwotę, otrzymawszy pokwitowanie na bloczku.

W całości pierwsze to wrażenie z poznania Piłsudskiego, zrobiło na mnie wrażenie człowieka ogromnie przepracowanego i żądnego odpoczynku. Pomimo pewnego ożywienia naszą rozmową, nie widziałem wówczas u niego owych błysków oczu i głębokiego badawczego spojrzenia, które wprost

przykuwa i nie pozwala oderwać oczu od tej tak wyrazistej twarzy i postaci. Mówił wówczas trochę o Syberji i rosyjskich stosunkach a później, gdy inne większe towarzystwo przysiadło się do niego, na które widocznie oczekiwał, my pożegnawszy się wróciliśmy do naszego stołu.

Wiele lat minęło, gdy raz na raucie, urządzonym dla Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego w salonach wojewódzkich we Lwowie, przypomiałem mu ową chwilę. Rozjaśniła się radosnym uśmiechem twarz Naczelnika i ściskając dłoń moją, powiedział: „Wspomnienia te, to dziś w mej pamięci, jakby najpiękniejsze chwile górnych uniesień młodości, chociaż to w istocie tak niedawno".

Były to w istocie chwile wielkich nadziei i pracy twórczej, choć podziemnej. Dziś trudno zrozumieć ten urok niezwykły, jaki praca w tajnych organizacjach studenckich i robotniczych wywierała na umysły. Już ta myśl sama, że my wreszcie pracujemy bezpośrednio dla Polski, przygotowujemy zbrojne powstanie dla zerwania więzów niewoli, była w obec powszechnego sceptycyzmu i tak zwanej trzeźwości poglądów w sferach inteligencji polskiej w naszym kraju, dla naszego pokolenia, urodzonego i wychowanego w niewoli, czemś do wiary niepodobnem, jakimś zamachem na zdrowy rozsądek i praworządny sposób myślenia. Nawet ludzie, którzy całą duszą kochali Polskę, i pragnęli jej, z wielkiem niedowierzaniem i obawą spoglądali na związki i drużyny strzeleckie, które ośmieliły się w swoich zamierzeniach i ćwiczeniach, wyjść trochę dalej poza zwykły program gimnastycznych sokolskich zabaw. Inni uważali to wprost jako „niebezpieczną robotę", gotową sprowadzić na młodzież i na cały kraj nieszczęście. A rząd austrjacki i wojskowość? Ci postępowali jak zwykle zgodnie z tradycją austryjacką po machjawelsku. Na pozór sprzyjali tym wojskowym ćwiczeniom i organizacjom, uważając je za pożądane uzupełnienia armji czynnej, nawet czasem użyczali karabinów i amunicji i dla ćwiczeń wojskowych młodzieży szkolnej wyznaczali osobnych oficerów instruktorów, lecz jak tylko inny wiatr z Wiednia zawiał, zaraz odbierali broń i zakazywali tych ćwiczeń, aby potem znowu przy innym wietrze, patrzeć pobłażliwem okiem na te ich zdaniem „dziecinne zabawy w żołnierza".

Tymczasem obok tej jawnej i niejako urzędowo uznanej organizacji była tajna, obejmująca coraz szersze warstwy młodzieży, ludu i robotników. Duszą tych organizacji, ich mentorem, powszechnie uznanym, choć przez nikogo nie wybieranym ani mianowanym naczelnikiem był Józef Piłsudski. Dzieje jego cierpień i walk z caratem, jego zasługi i praca nad uobywateleniem i śmiało to powiedzieć można, nad unarodowieniem robotników w Królestwie Polskim i jego organizatorska i nauczycielska działalność w Galicji w kilku latach przed wybuchem wojny światowej, były wszystkim bliżej ruchu stojącym dobrze znane i dobrze oceniane. Nikt, jak on, nie umiał wśród swoich bliskich i dalekich, wzbudzać prostemi środkami, czasem tylko gestem i spojrzeniem, czasem krótką przemową, ale zawsze stanowczością i energją zapału i bezgranicznego poświęcenia dla sprawy ojczystej. Nikt z takim niezachwianym i nieoglądającym się na żadne przeszkody uporem, nie umiał iść raz wytkniętą drogą do celu; nikt nie złożył dowodów takiej wytrwałości i nieustępliwości w walkach o wolność, jak Józef Piłsudski. Przez niego i jego towarzyszy, Polska Partja Socjalistyczna stanęła w równym rzędzie w służbie dla Ojczyzny obok tych, którym już tradycja historyczna zdawała się tę służbę dziedzicznie przekazywać.

Chłopi, tworzący więcej jak trzy czwarte całej ludności Polski, mieli już swoje stronnictwa polityczne w okresie przed wojną światową. Najbardziej uświadomione politycznie rzesze ludowców obejmowały powiaty środkowej i zachodniej Galicji, gdzie niegdyś pierwszym pionierem tego ruchu był prześladowany za to przez konserwatystów i wyższe władze duchowne ks. Stojałowski a później bardziej radykalny Jan Stapiński.

Idea uobywatelenia ludzi, początkami swemi sięgająca jeszcze w czasy Kościuszkowskie, była hasłem emigracji polskiej we Francji po r. 1831. Lecz usiłowania te, błędnie pojęte i przeprowadzone nie trafiły do duszy ludu włościańskiego, przez całe wieki ciemiężonego i świadomie bałamuconego przez zaborców, ani w smutnej pamięci roku 1846 ani w r. 1848, gdy ruchy rewolucyjne i narodowe wstrząsnęły prawie całą Europą. Nawet jeszcze Rząd narodowy powstańczy w r. 1863 taką samą błędną poszedł drogą, jakkolwiek już w owym czasie tu i ówdzie nawet w Królestwie, budziła się dusza ludu włościańskiego z wiekowego uśpienia. Błędem popełnianym przez patrjotów tych wszystkich czasów było wyobrażenie a nawet przekonanie, że dosyć będzie zwrócić się do ludu z manifestem, ogłaszającym jego uwłaszczenie i uwolnienie od wszelkiej pańszczyzny, aby go pozyskać dla sprawy narodowej i porwać do szeregów powstańczych. Tymczasem takie porywy bez długoletniego uświadamiania i pracy organizacyjnej, bez przejęcia się realnemi interesami ludu i opieki nad niemi, bez propagandy słowem i czynem, nigdy i nigdzie się nie udawały i zawsze sprowadzały tylko gorżkie zawody i rozczarowania, podobnie jak u nas cała działalność emisarjuszów emigracji paryskiej a później manifesty i złote hramoty Rządu narodowego w r. 1863 i 64.

Inaczej było w Poznańskiem, ale tam uwłaszczenie chłopów nastąpiło jeszcze z początkiem XIX wieku a już z tego powodu stosunek między dziedzicem a włościaninem ułożył się przyjaźnie a niekiedy nawet serdecznie. Późniejszy bezwzględny ucisk rządu pruskiego i hakatystów dotykał w równej mierze pana i chłopa, nie tak jak w Austrji, gdzie przez wiek prawie, cała polityka rządu w Galicji polegała na wygrywaniu chłopów przeciw panom, naturalnie tylko w sporach gruntowych o słynne „lasy i pastwiska" gminne, bo zresztą utrzymywano lud z umysłu w najgłębszej ciemnocie i zacofaniu, darząc go za to mianem „cesarskich dzieci" i pielęgnując w nim tym

marnym sposobem, nie bez skutku, uczucia przywiązania do domu cesarskiego i dynastji. Resztę tego wychowania dopełniała służba wojskowa, przejęta duchem średniowiecznego regulaminu służbowego i germanizacji przez korpus oficerski, w przeważnej większości swej niemiecki aż do ostatnich czasów i rozpadnięcia się Austrji.

Zupełnie analogicznie postępowała Rosja u siebie. I tam słynni „komisarze włościańscy" byli urzędnikami, których zadaniem było żywić i podsycać nienawiść wsi i dworu, i tam szkoły wiejskie, jeśli gdzie były, były jedynie instytucją ogłupiającą dla wyuczenia rosyjskiej AZ-buki i hymnu carskiego, i tam wreszcie długoletnia służba wojskowa była zakładem karnym dla tresury niewolników i rusyfikacji języka i obyczajów.

W takich warunkach praca nad ludem i powołanie go do udziału w życiu narodowem nie były rzeczą łatwą ani powierzchowną, czego dowodem były owe liczne pisemka ludowe, wydawane przez szlachtę i duchowieństwo, owe liczne „Zorze" „Niedziele" i „Gazety kościelne", których wpływ mimo najuczciwszą nieraz tendencję, był znikomy.

Dopiero zastępy inteligencji z samego ludu wiejskiego pochodzącej, dopiero ludzie z zupełnem poświęceniem i oddaniem się sprawie ludowej, zdołali ten lud z wiekowego letargu ocucić i razem z innemi warstwami narodu a nierzadko i przeciw nim, powołać do służby publicznej.

Już przed wojną powstało w Galicji, potężne organizacją, dyscypliną i liczbą członków swoich, stronnictwo ludowe polskie i już wówczas ujawniły się w nim dwa odłamy: bardziej prawicowy „Piast", skupiający w sobie zamożniejszych gospodarczy wiejskich z liczną reprezentacją poselską w Sejmie krajowym i parlamencie wiedeńskim z Wincentym Witosem na czele i bardziej radykalny odłam reprezentujący małorolnych i bezrolnych włościan, od swego przewódcy zwanych „Stapińsczykami". Idea polski demokratycznej i ludowej, równouprawnienie i walka z przesądami i przywilejami szlacheckiemi, pokutującemi jeszcze w naszem społeczeństwie, reforma rolna, dążąca do sprawiedliwszego rozdziału własności gruntowej przez parcelację wielkich obszarów ziemskich, poddanie tych „obszarników" ogólnym prawom i ustawie gminnej, wyzwolenie go od zbyt daleko sięgającego wpływu duchowieństwa i bardziej jeszcze szkodliwego wpływu żydowskiej karczmy na wsi — to były hasła przewodnie ludowców galicyjskich, do których synów ludu wiejskiego przymknęła już wcześnie pewna część inteligencji wiejskiej a nawet kilku ze szlachty, opatrzonych tytułami hrabiowskiemi.

I w tem stronnictwie liczyłem wielu znajomych i przyjaciół osobistych; z Janem Stapińskim kolegowałem niegdyś na uniwersytecie i jakiś czas wspólnie pracowałem w zawiązanym przez Asnyka lwowskim oddziale Towarzystwa Szkoły Ludowej. W „Kurjerze lwowskim" niegdyś jeszcze za czasów Rewakowicza i Wysłoucha, stawiałem pierwsze kroki na niwie moich literackich i dziennikarskich poczynań, z wielu wybitnymi członkami stronnictwa ludowego brałem nieraz udział w naradach i zebraniach.

Jeszcze słów kilka o tak zwanych dzisiaj w Polsce mniejszościach narodowych t. j. żydach i Rusinach.

Żydzi byli benjaminkiem Austrji. Jakkolwiek rząd austryjacki aż do ostatniej chwili nie uznawał ich narodowości, a w samym Wiedniu i w niemieckich prowincjach stronnictwa chrześcijańsko społeczne i liberalni antysemici zwalczali żydostwo, to jednak wpływy jego i znaczenie było zawsze wielkie a nawet z każdym rokiem wzrastające Żydzi nietylko zajmowali nieraz wysokie i intratne stanowiska rządowe, lecz wpływy ich sięgały do sfer dworskich i wszystkich ministerstw. Mieli oni we Wiedniu własną organizację tak skonstruowaną misternie, że w każdej sprawie ekonomicznej czy sądowej, bo nawet politycznej można było z pomocą tej organizacji przeprowadzić daną rzecz bez długiej i zbyt skomplikowanej drogi legalnej.

Dziewięć dziesiątych wiedeńskich żydów jest pochodzenia galicyjskiego. W każdym sklepie żydowskim można się tam rozmówić po polsku. Ale żyd galicyjski, chałatowiec zmieniał się pod względem zewnętrznego wyglądu na Europejczyka zachodniego. Nieraz widziałem w podróży, jak w wagonie kolejowym żyd chałatowiec z pejsami, przekraczając granicę galicyjską zrzucał chałat, ubierał marynarkę a pejsy pięknie czesał po za uszy w tył głowy i w kilku minutach przemieniał się w eleganckiego obywatela.

Za to w kraju nie krępowali się wcale oni pod względem stroju, ani co ważniejsze, czystości. Ludność żydowska, jakkolwiek od wieków u nas osiadła, zachowała zupełną swoją odrębność pod każdym względem. Religja, język, strój, zwyczaje, obyczaje, przywary i zalety zupełnie ich odróżniają od ludności tak polskiej jak i ruskiej. U nas tylko zachował się do dnia dzisiejszego najczystszy typ semicki, podczas gdy gdzieindziej zmienił się nie do poznania wśród ludności francuskiej, niemieckiej, angielskiej, włoskiej i węgierskiej. Dziwna rzecz, że to właśnie w tej Polsce, która niegdyś była asylem żydów, prześladowanych i tępionych ogniem i mieczem na całym świecie, żydzi zachowali odrębny swój typ pod każdym względem, a tam właśnie, gdzie ich bez litości setkami tysięcy mordowano, zlali się z miejscową ludnością do niepoznania, przyjmując jej język i kulturę i narodowość. Żyd francuski, niemiecki, węgierski a nawet rosyjski jest szczerym Francuzem, Niemcem, Węgrem i Rosjaninem i służy wiernie swej ojczyźnie, żydów polskich z duszą szczerze polską możnaby na palcach policzyć.

Żydzi galicyjscy przed wojną światową byli wiernymi austrjakami i lgnęli do kultury niemieckiej, w czasie wojny byli aż do ostatka najwierniejszymi sojusznikami państw centralnych a ich prasa bez wyjątku z Neue Freue Presse na czele obałamucała opinję publiczną świadomie i nieświadomie kłamstwami o zwycięstwach Niemców nawet wtedy, gdy już ich klęska ogólna była zdecydowaną i niechybną. W ogóle stek potwornych, obrzydliwych kłamstw

i bezgraniczna buta i arogancja, to ton i charakterystyka wszystkich dzienników i piśmideł żydowsko-niemieckich w czasie wojny.

W traktacie wersalskim umieli żydzi za protekcją Anglji wywalczyć dla siebie w nowopowstałych państwach, jak w Polsce uprzywilejowane stanowisko w postaci praw „mniejszości narodowych". Już przed wojną światową rozwinął się i zorganizował wśród żydów galicyjskich ruch syjonistyczny. W czasie jakiejś rocznicy Herzowskiej, widzieliśmy wszędzie nawet po małych miasteczkach na oknach żydowskich domów nalepki z wizerunkiem tego ideologa. W czasie wojny światowej ruch ten jeszcze bardziej spotężniał; ale cel główny, to jest powrót do Palestyny, pomimo utworzenia tam pod protekcją Anglji państewka żydowsko-arabskiego, został chybiony; żydom wszędzie w Europie a szczególniej w Polsce zbyt dobrze się dzieje, żeby chcieli masowo kraj opuścić i tam w ojczyźnie swej ciężko pracować dla jakiejś idei narodowej. Tu u nas, trudniąc się handlem, głównie szynkarstwem a najgłówniej lichwą pieniężną, żyją sobie dostatnio i wygodnie. Ale jako ludzie praktyczni, nawet ideę syjonizmu wyzyskali, tworząc zorganizowane wzorowo stronnictwo polityczne, występując w obronie żydowskich interesów tu na miejscu.

Na przekór temu wszystkiemu, co tu napisałem o naszych żydach, chcę jednak zaznaczyć, że i u nas, jakkolwiek w znikomej ilości byli i są żydzi i to mężczyźni i kobiety o tak gorącem polskiem sercu bez żadnych zastrzeżeń, o takim poświęceniu dla sprawy polskiej, że społeczeństwo nasze już ich wcale nie uważało i nie uważa za „żydów" t. j. obcy i nieprzychylny nam żywioł, lecz tylko za Polaków odmiennego wyznania, których szanuje i kocha jak swoich najlepszych i najzasłużeńszych obywateli.

Może w ciągu tego pamiętnika będę miał sposobność po imieniu i nazwisku wymienić tych godnych ludzi, z których kilku śmiercią własną na polach bitew zadokumentowało swoją przynależność narodową.

Ciężką mamy sprawę z naszymi Rusinami. Jeszcze około połowy XIX wieku nastąpił wśród szczupłej wówczas inteligencji ruskiej w Galicji Wschodniej rozłam ideowy na starorusinów, zwanych podówczas Świętojurcami od głównego ich ogniska, Katedry Św. Jura we Lwowie i młodorusinów, którzy dopiero po r. 1880 przybrali nazwę Ukraińców, historycznie nieuzasadnioną, gdyż Galicja nigdy nie była częścią dawnej prowincji polskiej, naddnieprzańskiej Ukrainy. Pierwsi byli otwartymi moskalofilami, dążącymi do ewentualnego połączenia się z carską i prawosławną Rosją. Dziwna rzecz, że właśnie w tej partji była najświatlejsza i najbardziej zrównoważona część inteligencji ruskiej. Kiedy pod koniec zeszłego wieku rząd austrjacki, trzymający się zawsze hasła: „divide et impera", zaczął popierać ruch ukraiński przeciwko starorusinom, zakładając gimnazja i wprowadzając fonetykę w pisowni ruskiej, wówczas starorusini woleli dzieci swoje posyłać do szkół polskich, niż do tych ukraińskich, w których, jak się później pokazało, nie wiele zajmowano się nauką, co raczej wszczepianiem w dusze młodociane nienawiści do Polaków, jako panów, uciskających chłopa ruskiego i jakichś mętnych obrazów dawnej wielkości i sławy ukraińskiej za czasów kozaczyzny i hetmana Chmielnickiego lub późniejszych rzezi polskiej szlachty i żydów na Rusi przez bandy chłopstwa pod dowództwem Gonty i Żelaźniaka.

(C. d. n.).

BOL. ZYGMUNT LUBICZ.

JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU

Ty rozkaz dałeś mi, bym szedł za pługiem
i orał puste, bezbrzeżne równiny —
bym w krótkiem życiu lśnił świtaniem długiem
i śmierć swą spotkał, omył z wszelkiej winy.

Wziąłeś me myśli wszystkie, aby wieniec
z nich pleść twą ręką wszechwiedzącą mistrza,
nie żak przed Tobą stanął, lecz szaleniec
w którego duszy dzwoni pieśń najczystsza.

Wziąłeś mą wolę w Twe spiżowe kleszcze
i idę odtąd, aby Cię zwiastować
i wołam: doświadcz Wodzu doświadcz jeszcze,
bym się nauczył nad bólem panować.

Bym się senności wyzbył ociężałej
i orłom sprostał w ich wysokim locie
i duchem jędrny, ciałem ogorzały
... jeśli tak trzeba... stanął na Golgocie.

Twardy Twój rozkaz: płonąć ma w pożarze
Wodzu! i walczyć, jako walczą męże!
Serce radosne rzucam Ci dziś w darze,
bo wiem, że zginę, lecz ginąc zwyciężę.

O SZÓSTYM PUŁKU LEGJONÓW POLSKICH

(WYJĄTKI Z PAMIĘTNIKA ADJ. STANISŁAWA KOCHANOWSKIEGO)

20. IV Przyjechał Sidorowicz i Zacharjasiewicz. Bardzo się ucieszyłem z przyjazdu „Sidora" — człowiek o wysokiej kulturze — artysta — kolega pułkowy, z którym zawsze zgadzaliśmy się bardzo. Leżę więc między dwoma muzykami i prowadzimy długie dyskusje o teatrze. Prócz nas jest tu jeszcze rotm. Okołowicz i kpt. Wyspiański ciężko chory.

21. IV. Cały obóz z Dulfalva odchodzi dziś do Udine.

25. IV. Byłem u generała naszego. Jest przygnębiony, gorycz na ustach, żalił się na niejedno i nieraz mu w rozmowie głos się załamywał. Żal mi go szczerze — tego zacnego człowieka i prawdziwego żołnierza. Żegnał się serdecznie ze mną i kol. G. i ściskając nas za ręce rzekł: „Pamiętajcie Panowie, że byłem zawsze i jestem dla was ze czcią". Takie słowa z ust takiego żołnierza zapłaciły za wiele smutnych chwil przebytych.

26. IV. Popołudniu odwiedził nas Jassal ze swym kolegą — ładnie to z jego strony, że pamiętał o nas. Po wojnie chce przenieść się do Lwowa i oddać się studjom muzycznym.

27. IV. Wycieczka do miasta, do kina, z którego niewiele rozumiemy, bo napisy po węgiersku tylko.

28. IV. Przyjechał ppor. Felsztyński art. malarz — poeta — aktor — vagabond et Boheme — bardzo go lubię — umila nam czas opowiadaniami — deklamuje wyjątki ze swojego dramatu — historje o muszkach — królewnych zaczarowanych; nie miałem nigdy kultu i zrozumienia dla tych zbyt metafizycznych dla mnie rzeczy. Przychodzi często Okołowicz — ciekawe wygłasza zdania o sztuce i jej sprostytuowaniu się u nas; nie zawsze się zgadzamy z jego zdaniem — ale warto go słuchać.

Nasz Dr. Klein jest bardzo miły; napisaliśmy obaj z Sidorowiczem humoreskę o nieocenionym Julku Schreyerze, z których śmiał się do rozpuku.

2. VI. Przychodzi awizo, że w najbliższych dniach jedziemy na stary szlak Legjonów Dąbrowskiego do północnych Włoch — do Udine.

Po południu z okazji „tygodnia Karola" wielki festyn wojskowy. Popis austrjackiej kolumny szturmowej i miotaczy min. Pobudowano trybuny, w których pochowały się damy i różne c. k. dekowniki rachunkowe i inne etapenschweine — od wypadku. Ćwiczenie samo było nie nadzwyczajne, szli zanadto wielkiemi kupami, zbici — ale za to dużo było huku i błysku, co się publice podobało, koroną wszystkiego było — że, jak opowiadano na drugi dzień, zabawa ta kosztowała życie i zdrowie kilku żołnierzy w zabitych i rannych.

Poszliśmy tam z ppor. austr. Garczyńskim, który nas gościł i zabawiał cały czas.

8. VI. Wieczorem odwiedziła nas Schwester Marie, Monachijka — długa gidja, pytlująca bardzo szybko — opowiadałem jej ślizkie historje, które przyjmowała wcale gładko.

10. VI. Awantura arabska!!! Kapt. Wyspiański uciekł; wczoraj jeszcze chodził biedak o kulach ledwo żywy, a dziś buja sobie już na wolności — i wierz tu komu!

13. VI. Pod eskortą dwóch oficerów, Czecha i Węgra jedziemy we czwórkę tj. kpt. Olbrycht, Sidorowicz, Zacharjasiewicz i ja do Udine.

17. VI. Jesteśmy w Zagrzebiu, zwiedzamy miasto, miłe, wesołe, moc ładnych i szykownych kobiet. Nie czuje się tu całkiem wojny. Wieczorem byliśmy we dwóch w Vanele na jakimś Ersatzspektaklu, spędziliśmy potem wcale wesołą noc, co się smutno odbiło na portfelach.

R. Łubieński por. 6 p Leg. Pol rozsiekany przez Moskali po bitwie pod Polską Górą w 1916 r

18. VI. Jedziemy dalej W Rudolfstadt omało się nie zabiłem, wskakując do pociągu w nocy, skończyło się na potłuczeniu i zgubieniu czapki.

19. VI. Wysiadamy w Opcinie, niedaleko Tryestu i tu natrafiamy w jakiejś osteryi na wesele; wnet robi się znajomość i tańczyliśmy parę godzin z nadobnemi Kroatkami.

20. VI. Görz — obraz zupełnej ruiny, jak daleko spojrzysz niema literalnie jednego całego domu, sterczą najwyżej trzy ściany i las kominów wznosi się jak krzyże na tem strasznem cmentarzysku. Okalające góry, nieme świadki huraganu wojny, pokryte szkieletami drzew, zdają się jak martwe; morze stali spoczywa w ich czeluściach.

Popołudniu stajemy w Udine, schludne miasteczko włoskie, bardzo ładne municipio zniszczone przez Prusaków, położone na górze dominującej nad miastem, na ulicach pustki — widać tylko przeważnie wojsko. Nieszczęsni mieszkańcy wynędzniali snują się jak duchy po ulicach — biedni, głodni. Pruska łapa tu gospodarowała. Pięć dni rabowali tu z nakazu — wywozili wszystko, objedli nieszczęsne to miasto, jak mrówki trupa. Dostać nie można nic prócz czystej herbaty i kawy a raczej jakiegoś płynu nieokreślonego. Stąd mamy iść do Magredis 18 klm. Oświadczam oficerowi konwojującemu, że jako tacy, którzy wyszli dopiero ze szpitala, nie pójdziemy bezwarunkowo piechotą, choćbyśmy tu mieli siedzieć do sądnego dnia. Idzie więc ten oficer telefonować do Komendanta Obozu. W kawiarni spotykamy jakiegoś oficera Legjonistę, który nam opowiada, że odbył się już asenterunek — nie wzięto tylko 17-tu, ale i ci siedzą dalej i czekają.

23. VI. Nareszcie zdecydowano się przysłać po nas furę i wraz z kilku kolegami, którzy znaleźli się

tutaj w powrotnej drodze z Tryestu, jedziemy do Magredis. O 9-tej stajemy na miejscu — ale i tutaj nie jesteśmy jeszcze u celu, kwatera nasza o 2 km. stąd w Sciacco, ładny pałac opuszczony przez właściciela, przyjmuje nas tu „komendant", Rusin chorąży austrjacki, cham bojący się i ostrożny. Dostajemy we dwóch z Zacharjasiewiczem duży ładny pokój. Zastaliśmy tu już czterech naszych oficerów, przebranych w mundury austrjackie, w randze aspirantów oficerskich i naszych żołnierzy. Mają codzienne ćwiczenia pod kierunkiem podoficerów z I. Brygady, którzy w roku 1916 zgłosili się do armji. Miny, trochę zrzadły, bo jeść mało i podle — polenta — polenta — polenta!...

24. VI. Poczciwy Jan, mój ordynans, dowiedziawszy się o moim przyjeździe — zjawił się zaraz, jest już zwolniony i czeka kiedy go odtransportują do kraju.

25. VI. Idziemy do Ravoczy na spacer, gdzie są nasi koledzy już zwolnieni przy asenterunku.

Prowadzimy we czworkę prawdziwie dolce far niente tylko nie dolce. Dostałem obiad z austr. menaży, więc jest nam względnie dobrze. Sypiamy długo ze względu na gorąco — a potem idę na wieś malować. Ludzie grzeczni i mili, specjalnie dla nas Legjonistów. Chłopcy nasi pozawierali już tu znajomości, pomagają im w robocie — prowadzą handel zamienny za tytoń. Dziewczęta ładne, zgrabne, naturalne — chodzimy z niemi na spacer.

W naszem sąsiedztwie mieszka la bella Emilie — zgrabna blondyneczka — o powłóczystym spojrzeniu i miłym uśmiechu, gdy, mówi „Buona sera signor Tenente". Jaka kultura u tych dziewcząt wiejskich, z któremi można mówić o Dantem, Boccaciu i d'Anuzio! Jaki sposób bycia — niejedna panna z naszej małomiasteczkowej półinteligencji mogłaby od nich dużo skorzystać co do sposobu bycia.

5. VI. Poznałem adjutanta naszej grupy kapitana jakiegoś Kroata, naszego sympatyka; spotykam dawnego znajomego Dra Prusa, który zabiera mnie z sobą do Attimis, gdzie stoi stary zamek, kolebka hr. Attemsmów, dziś opustoszały całkiem. Został tylko stary hrabia, który może przyjmował tu kuzyna swego austrjackiego oficera Attemsa, który tu wjechał na kwaterę. Przed oczami memi snuje się obraz, jaki mógł być tutaj, gdy austr. hr. Attems zajechał w te strony.

W Attimis spotkałem naszych ułanów, którzy się tam doskonale bawią. Po małym obiadku — wróciłem do siebie i zastałem tu mego dawnego ucznia por. Wolfa z 91. pp., który przyjechał z transportem i dowiadywał się o mnie — mówił o nas w sztabie — tak, że zacząłem mieć coraz lepsze nadzieje na przyszłość.

Poznałem się z generałem komendantem grupy Polakiem, — bardzo miły starszy pan — zainteresował się memi akwarelami. Na drugi dzień zjawił się u nas w Sciacco i zaproponował mi czybyśmy się nie przyjechali do „Musterung" do Tryestu, — naturalnie akceptuję to z radością — chodzi tylko o to generałowi, że oficer, któryby nas eskortował, jest na urlopie. Wobec tego proponuję mu, że biorę na siebie gwarancję za nas, że nie uciekniemy. Zgadza się — więc w tej chwili alarmuję kolegów i walimy do grupy po dokumenta podróży. Dzięki uprzejmości generała dostajemy wózek i opuszczamy Magredis.

Wieczorem stajemy w Tryeście, mieszkanie dostajemy w pierwszorzędnym hotelu z widokiem na morze. Wychodzimy rozejrzeć się trochę po mieście, dość pustem już o tej godzinie.

12. VI. Przychodzimy rano do Komisji — każą nam przyjść popołudniu — nieznośne takie oczekiwanie — jesteśmy wszyscy zdenerwowani.

Włóczymy się po Tryeście — deszcz leje jak z cebra — nareszcie o 3-ej stajemy przed Komisją, by w godzinę później wyjść z radosnemi minami, bo nas uwolniono wszystkich.

Finita comedia! — jedziemy do domu. — Wieczorem z kpt. Olbrychtem na Wiedeń do kraju. Tamci dwaj koledzy mają przejść jeszcze przez jakąś komisję.

Nareszcie 15-go rano wróciłem do Lwowa — i na tem samem miejscu, na którem pełen nadzieji stałem na koniu, przy szabli, z fantazją w duszy, — znalazłem się jak wtedy z jedną torbą podróżną w ręce, by wsiąść na tramwaj i znaleść się znów w dawnych ale tym razem gorszych warunkach.

Dziś gdy piszę te słowa i patrzę w tę przeszłość barwną, która tak szaro się skończyła — nie żałuję niczego — tak było widać sądzone. A w duszy tkwi uporna myśl, że to nie koniec, że to chwilowy etap tylko, że cały ten piękny szósty pułk, odnajdzie się znów razem, niedługo może i rozwinie swój jasny proporzec w dzień blasku i chwały w dzień, gdy powstanie — Ona.

Lwów, dnia 18. czerwca 1918.

Rotm. St. Kochanowski autor pamiętnika o 6 p. p. Leg. Pol.

A. BŁOTNICKI

V I O L A *)

Poznaliśmy Violę zupełnie przypadkowo.

Przemundurowani z leguńskiej skóry na austrjackich „Feldwebli-Kadett-Aspirantów", znaleźliśmy się wraz z paką wiary legjonowej w miejscowości Clanetz na Istrji.

Skaliste Pobrzeże, o ubogiej ziemi, kraina kóz i kasztanów (maronów) oraz nienajgorszego wina „Vermuthu", stała się tem jeszcze pamiętną, że tu starano się na gwałt — wygnać z nas rogatą duszę leguńską, a przepoczwarzyć w c. k. dwugłowego syna Austrji.

Gdy godni opiekunowie skonstatowali, że stanowimy nienajgorszy „kanonen-futer" zorganizowali z nas przyzwoity bataljon i wyznaczyli drogę prowadzącą w kraj cyprysów, wiecznego słońca i pogodnego lazuru nieba.

Nie tak łatwo było tam się dostać. Stały temu na przeszkodzie potężne pozycje włoskie nad modrą wstęgą rzeki Soczy.

Nie mieliśmy jednak dokazywać cudów waleczności jako bataljon legunów, rozdzielono nas bowiem między 20, 56 i 100 p, p. b. armji austrjackiej.

Tak więc zrządzeniem losu dostaliśmy się w trójkę do 20 p. p. zwanego „zwanzigerami z Matką Boską". Skąd ta oryginalna nazwa powstała, nie umiano nam wytłumaczyć, ani wyjaśnić.

Był to nowo-sądecki pułk, jednakże służyli w nim Rusini ze wsch. Małopolski z pewnym odsetkiem Niemców i Czechów. Podobnie przedstawiał się i korpus oficerski, lecz w odwrotnym porządku. Była też garść Polaków — między innymi kpt. Dobrodzicki, Kawczak i Giza — śp. Bergman i Buczma, którzy najwięcej nam okazywali sympatji i koleżeństwa.

Z tym pułkiem mieliśmy z bracią I-szo brygadową, jako dowódcy plutonów zdobywać wawrzyny i laury w myśl szczytnego hasła: „Dla ciebie Austrjo i dla chwały Habsburgów".

Zresztą, czyż był powód do narzekania? Przenieść się bez żadnych trudności, wydatków i starań z frontu wołyńskiego, czy też „baranowickiego" poprzez Zambrów - Pomiechówek - Modlin - Przemyśl - Niżankowice - Kraków - Wien - Budapeszt - Lublanę - Villach - Margburg - Triest na niż lombardzki w krainę wyniosłych pin i cyprysów, róż i uśmiechniętego słońca, czyż nie stanowiło wypadku pełnego emocji wrażeń i wspomnień?!

Ruszaliśmy tedy szlakiem Legjonów Dąbrowskiego, lecz pieśń nasza była tak zgoła inna, buńczuczna, zawadjacka, a czasami rozpaczna. Śpiewaliśmy marsz I ej brygady, obok „Szumi Marica" — śpiewaliśmy:

Jest odezwa Beselera, jest odezwa Kuka,
Będziem robić polskie wojsko
Dreisig marek sztuka!

lub mniej wytworną:

Na front włoski wyruszamy
Beselera w... pięcie mamy i t. d.

Pułk nasz wchodził w skład dywizji gen. Puchalskiego, który sprawował przez czas jakiś dowództwo Legjonu.

Właściwie przyjęto nas dość przychylnie.

Mniej sympatyczne stosunki były w 56 p. p., a zupełnie niemiłe w 100 p. p. (t. zw. „Stowym" pułku).

A działo się to w 1917 śródroczu.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że będzie tu goręcej. Debatowaliśmy nad tem, czy nie stanąć z miejsca w opozycji i nie wypowiedzieć posłuszeństwa Austrji?

Lecz jakie wyjście? Gnić w jakimś obozie bezczynnie? Lepiej zwiedzić kraj kultury i szmat ziemi przemierzyć własnemi nogami.

Powtóre nie traciliśmy fantazji, ani dobrej myśli, że w kraju obudzi się śpiący duch narodu. Zostawialiśmy przecież część swych ludzi w „Wehrmachcie". Wrzała też praca w P. O. W. — Sądziliśmy, że praktyka wojenna na froncie włoskim przyda się nam w przyszłości.

Wprawdzie nie można było wiedzieć ilu nas wróci, bo Włosi „grzali" dobrze ogniem potężnych dział i miotaczy min. Lecz czyż nie był to efekt godny widowiska, gdy w wieczór lub nocną porą plunęło szrapnelami kilkadziesiąt bateryj, tworząc z pękających pocisków błyski ogników, które zawisłały na moment w powietrzu i siały śmierć.

Lub, gdy setki dział ryły z pasją ziemię wyrzucając siłą wybuchających granatów wysoko w górę wszystko co stanęło na przeszkodzie, tworząc wstrętną, brudną, gryzącą zasłonę z dymu, krzaków, drzew, kamieni i ciał ludzkich!...

Przecież takie „upojne" chwile nie są zdarzeniem codziennem.

Tak tedy szczęśliwie sforsowaliśmy Soczę pod Monfalconne, zamienione w stos gruzów i rumowisk. Wprawdzie dowcipni Włosi urządzali nam różne psikusy, przerywając tamy licznych kanałów i zalewając całe obszary wodą, ale ponieważ człek miał skórę nieprzemakalną na swem grzesznem cielsku, właził więc w wodę, wyłaził z niej, suszył się (to znaczy ubranie) na słońcu i tak płynęły mu swywolne dnie psiego żywota.

Włosi nie byli złymi ludźmi. Wyrywali uczciwie, to też nieprawdopodobna ilość sprzętu, broni, armat, ubrań, wozów, prowiantów, leżała na drogach, w rowach — tak, że nie można było narzekać na głód, a garderobę w razie „katastrofy" można było dość często zmieniać.

Robiła więc armja austr. wrażenie pułków włoskich i tylko bączki na czapkach z inicjałami F. J. I.

*) Wyróżnione na konkursie liter. „Żołnierza Polskiego". Niedrukowane.

(Franc Joseph I) wskazywały na to, że jest to niezwyciężona k. u. k. Armee.

Wśród tych wrażeń, zasobnych w fragmenty bitew, rannych i zabitych, przy akompanjamencie karabinów maszynowych i wycia armat, wśród marszów i kontrmarszów, sforsowaliśmy Tagliamento, Livencę i oparli o rzekę Piavę.

Tu miał być kres władztwa Habsburgów, tu utonęła potęga monarchji austro-węgierskiej, tu poznaliśmy Violę.

Kompanja nasza, (dowodzona wówczas przez kapitana Terka, rozstrzelanego w Polsce za szpiegostwo), otrzymała nie zupełnie wesoły odcinek, tuż pod murami miasta S. Dona di Piave.

Miasto niegdyś zamożne, chociaż nie wielkie, położone oryginalnie nad piękną wodą modrej Piavy, zastaliśmy niemal zupełnie opustoszałe i w połowie conajmniej zniszczone.

Mieszkańcy uciekli wraz z cofającymi się wojskami włoskiemi i tylko na peryferjach przedmieść snuły się w chwilach ciszy na froncie postacie ludzi wylęknionych, zmaltretowanych, niepewnych dnia ani godziny.

Los tych ludzi nie był godnym zazdrości. Gdy nieco front ustalił się, a gorączka wypadów zarówno ze strony Austrjaków, jak i Włochów minęła — artylerja ustaliła zaś swoje godziny, w których wyrzucała z paszcz dział pewną ilość granatów — jako życzenia na „dzień dobry, smacznego, lub dobranoc" i gdy wiedzieliśmy, że nie grozi nam na razie pęd ku zdobywaniu nowych laurów i wawrzynów, urządzaliśmy głębsze zagony... ale w tył poza miasto, tembardziej, że na polach licznych winnic pozostały jeszcze niezebrane kiście winnych gron, na których „używaliśmy" jak nigdy przedtem i prawdopodobnie nigdy wogóle używać nie będziemy.

Jesień miała się ku końcowi. Oczekiwaliśmy na słynną „burzę", wiatry niosące zapowiedź zimy, tutaj dżdżystej i deszczowej, trwającej bardzo krótko, ale przykrej, zwłaszcza dla żołnierza.

Los był jednak dla nas łaskawy. Gdy bowiem w dzień wigilji Bożego Narodzenia, gnaliśmy myślami ku rodzinnym stronom i przywracali w pamięci piękną polską zimę, mroźną i śnieżną, gdyśmy w swych tęsknotach prosili bóstwa rządzące światem, by bodaj śnieg do nas zawitał, prośbie naszej stało się zadość. Biały całun śniegu pokrył wieczorem pola i winnice, a drobny mrozik ściął wodę i rozmokłą ziemię. Nie wierzyliśmy własnym oczom, radowaliśmy się jak dzieci — pierwszym śniegiem — wypadkiem, niesłychanie rzadkim na ziemiach włoskiego południa.

Był to jeden jedyny dzień polskiej zimy — w noc wigilijną — pamiętny do ostatnich chwil życia.

Zima kroczyła szybko. Spędziliśmy ją na pozycji w swych „unterstandach" prosząc o rychłą wiosnę. Monotonne dni przechodziły nam na grze w szachy, karcięta i wycieczkach, zależnie od sytuacji na naszym odcinku i kaprysów pogody.

W każdym razie wiosna obejmowała władnie ziemię, pokrywając ją zieloną szatą, pełną szczerb granatnich, widniejących jak plamy atramentowe na jasnym dywanie zieleni.

Kapryśna zima mknęła niepostrzeżenie. Z wiosną wstępywała jakaś otucha, być może pod wpływem słońca, które było zawsze jednakie. Nikt i nic biegu jego odmienić nie był w stanie.

Rozpalało swą tarczę wczesnym rankiem i ogrzewało wspólnie ciepłem zarówno wrogów jak i przyjaciół, dla wszystkich było jednako przyjazne, nie znając różnic.

To też korzystaliśmy z tego budzącego się słońca i dni ciepłych, pogodnych, urządzając sobie wycieczki krajoznawcze. bryką, czy też zdobyczną dwukółką, tak popularną na południu.

I w jeden taki dzień, pamiętny, zapuściliśmy się w trójkę do jakiejś osady „Casa Vecchia", odległej kilkadziesiąt kilometrów od pozycji. Tam szukając bezskutecznie za „Tratorią", gospodą, spotkaliśmy w cieniu drzew morwy i pnączy wysokopiennych róż, młodą panienkę, zgrabną, stanowiącą jednak odmienny typ od smagłych, smukłych — Włoszek — brunetek.

Była to blondyna o ciemnem odcieniu włosów, dużych niebieskich oczach, zbliżona raczej do rasy słowiańskiej niż południowej.

Nie odnaczała się wybitną pięknością, ale w tym otoczeniu zieleni, ubrana w lekką jasną suknię, miała tyle uroku i powabu, a w spojrzeniu tyle subtelności, że zdolna była przykuć człowieka i wedrzeć się w głąb duszy, budząc niepokój i opanowując całe jestestwo.

Spotkanie to było tembardziej dla nas dziwne, że w czasie ofenzywy idącej od s-ta Croce-Monfalconne. aż po Livencę i Piavę, nie widzieliśmy prócz księży, żadnej inteligencji włoskiej, któraby pozostała na zajmowanych przez Austrję terytorjach. Uciekała wraz z cofającemi się wojskami włoskimi, pozostawiając domostwa bez opieki, całe urządzenia, drogocenne meble, które albo padały pastwą ognisk żołnierskich, albo artylerji obu stron. Takie prawo wojny.

Nic dziwnego, że w tych warunkach, osiedla miejskie spustoszały, a jedynie osady i wioski świadczyły o tem, że jeszcze niedawno wrzało wszędzie życie.

To też stęsknieni byliśmy za ludźmi inteligencji.

Człowiek dziwaczeje i dziczeje na froncie, staje się mizantropem, a raczej mizan-cywilem, nieśmiałym w stosunku do ludzi, w szczególności do kobiet, inteligentnych, dumnych.

I wyobrażam sobie jakie musieliśmy mieć wszyscy trzej niewyraźne miny, na widok nieuchwytnego i nieznanego nam piękna.

Próbowaliśmy się zbliżyć, bąknęliśmy nieśmiało śmiesznie, łamiąc z francuska i włoska *„pardon bella signorina"*.

I na tem skończyła się nasza idylla!... W odpowiedzi bowiem piękna nieznajoma obdarzyła nas ironicznym uśmiechem, dumnem spojrzeniem i nie-

znana nasza sympatja znikła w drzwiach „Casy Vecchii".

Staraliśmy się przybrać obojętny wyraz twarzy, spojrzeliśmy ukradkiem po sobie, zrozumieliśmy się dokładnie i zawrócili z nosami na kwintę spuszczonymi do naszej dwukółki. Byliśmy źli na siebie, klęliśmy nie po salonowemu, ale nie traciliśmy nadziei. W każdym jednak razie był to dla nas niezwyczajny „evenement".

To też wracaliśmy swą dwukółką, stosując nazbyt często zasadę „milczenie jest złotem", a tylko Józek Poręba dogadywał od czasu do czasu, wprawiając nas w jeszcze większą „melancholję".

Staszek Bystram starał się powetować nieudaną wycieczkę, wywierając swą energję na biednym koniu, który gnał jak koń strażacki w czasie pożaru.

Ostatecznie jednak doszliśmy do przekonania, że niema się czem przejmować, a sam fakt, żeśmy widzieli prawdziwą niewiastę i to z „towarzystwa" był niezwykłem zdarzeniem.

Zresztą zachowanie się „Nieznajomej" poczytaliśmy jako dodatni z jej strony objaw i rys, uważając, że było to na miejscu.

Oczywiście nie zrezygnowaliśmy z ponownej wycieczki w najbliższych dniach, tusząc, że nieco lepiej się powiedzie.

Gdzieś dudniały działa, gdzieś rozlegały się przytłumione strzały karabinowe. Słońce już skryło się, ustępując miejsce wschodzącemu księżycowi, który ironicznie uśmiechnięty wyłaniał się z pozycji włoskich, oświetlając nam dyskretnie drogę. Po trzygodzinnej jeździe znaleźliśmy się w rejonie pozycji „Rumaka" z dwukółką zostawiliśmy w taborze a sami kończyli swą 6 klm. drogę „per pedes apostolorum".

Minęło kilka dni. Od Adrjatyku szedł ciepły powiew. Wiosna starała się przystroić świat niewinną szatą zieleni, lecz kikuty drzew nie mogły odzyskać liści, a dywan łąk i pól poszarpany świadczył boleśnie i smutnie o kulturze ludzkiej.

W tydzień po nieudałej naszej wycieczce, gdyśmy nieco ochłonęli z pierwszych wrażeń, a zachowali miłe wspomnienia, wybraliśmy się ponownie w stronę „Casy Vecchii".

Towarzyszami tych wypraw, była zawsze nasza trójka „kadettaspirancka", żelazna od czasów legjonowych. (C. d. n.).

Pierwszy transport Legjonistów w Udine na wł. froncie 1918 r.

JAN TATOMIR

WSPOMNIENIA LEGJONISTY „CZWARTAKA"

W dalszych przesunięciach, dostaliśmy się na stałe zimowe pozycje, pod Optowę. Zagospodarowaliśmy się tu prześlicznie. Lecz z początku, zanim zżyliśmy się z otaczającą nas ziemią, zanim poznaliśmy się oddzielnie z każdem drzewkiem, zanim zorjentowaliśmy się, jak faktycznie jest tu dookoła, kto sąsiaduje z nami, kto, gdzie ma swój rejon, gdzie są moskale, czuliśmy się nie zupełnie dobrze. Pozycje nasze znajdowały się przedewszystkiem na bagnach i pełnej wodzie. Miejscami odziedziczyliśmy po naszych poprzednikach austrjakach okopy tam tylko, gdzie było jakieś wzniesienie i grunt na to zezwalał. Nie mogło to być jednakowoż zabezpieczeniem dla nas na całą zimę i ewentualnie przyszłe nieprzyjacielskie ataki. Znowóż czekała nas wielka praca. W jedenastce, praca ta rozpoczęła się bardzo kombinacyjnie. Za inicjatywą naszego dowódcy, postawiliśmy sobie powietrzną kolejkę. Z piasczystej wyniosłości, chcieliśmy w ten sposób po drucie przenosić piasek na redutę, stawiane w bagnistych lukach.

Rusztowanie do tej kolejki nadawało się, jak zresztą z powierzchowności można było wywnioskować, raczej na szubienicę, aniżeli do właściwego przeznaczenia. Skończyło się na tem, że piasek nosiliśmy workami i przewoziliśmy na taczkach, po specjalnie do tego celu zbudowanej drodze. Na przedpolach zakładaliśmy nowe druty kolczaste i alarmujące miny. Z moskalami byliśmy tu, nawet w bardzo dobrej konwitywie. Tak, jak my na tych stanowiskach, oni zajmowali również trochę nawet wyższe wzniesienie, znajdujące się od nas w odległości około 1 kilometra. Przestrzeń ta, to bagniste torfowiska, które z trudem można było przebyć. Pod Optową należałem do specjalnego oddziału patrolowców. Zadaniem naszem było o każdej porze, kiedy zachodziła tego tylko potrzeba, patrolować przedpole, wypłaszać podsuwające się patrole nieprzyjacielskie, lub też umiejętnie je chwytać, zasięgać cennych wiadomości o nieprzyjacielu, jednem słowem gromadzić niezbędne na wojnie wszelkie odkrycia o moskalach.

Na froncie panował zupełny spokój. Od czasu do czasu dochodziły odgłosy krótkich starć patroli,

alarmowały strzały wysuniętych czujek, świstały w powietrzu artyleryjskie podarunki, z grzeczności pomiędzy sobą wzajemnie wymieniane. Bardzo przykrą też bywała historja o naszych ptaszkach powietrznych. Krążyły, przelatywały, zatrzymywały się jak jastrząb rozpięty wypchany, a nasze głowy z lękiem szukały nad sobą osłony, bo do tych aeroplanów zawsze ktoś strzelał. Aeroplan zwykle śmiejąc się poleciał dalej, a my odbieraliśmy jego gościnne poczęstunki, bądź to z naszych baterji, bądź też nieprzyjacielskich.

Ogólny spokój na całym froncie, pozwolił nam wykorzystać każdą chwilkę na zabudowanie pozycji za gospodarowanie swoich rejonów.

Pod kierownictwem sierżanta R., rozpoczęliśmy budowę ziemianki. P. sierżantowi zależało na tem, aby jaknajprędzej ją ukończyć, mniej zaś na wykonaniu i późniejszej jej wytrzymałości. Można było to nawet razem połączyć, bo gdyby się było przypuśćmy pół godziny nadłożyło ponad czas faktycznie zużyty, budowa ziemianki byłaby osiągnęła znacznie lepsze wyniki. Pan sierżant stał się nad nami jako fachowy inżynier. Rzucał się, głosem swoim roznosił tętno pracy po całym rejonie, a nawet do wnętrz wszystkich przełożonych, na czem specjalnie mu zależało. To, według niedoważonej własnej opinji, miało p. sierżantowi wyrobić w oczach wszystkich, miano nadzwyczajnego i wyróżniającego się żołnierza. Pośpiech, zaznaczam był zupełnie niepotrzebny, bo ani nie przeszkadzał w pracy nieprzyjaciel, ani sama ziemianka nie była tak piekąco potrzebna.

Część nas wyrzucała ziemię, aby z zarysowanego fachową ręką prostokąta wyżłobić odpowiednio głęboki wnęk. Część zaś, wycinała potrzebne belki i znosiła na miejsce. Ku zadowoleniu p. sierżanta, robota postępowała poprostu — piorunem. Młodzi chłopcy robić potrafią. Nie wiem już, jak to długo trwało; dół był wykopany i drzewo było przygotowane. Z całym teraz zapałem, dodawanym nam przeraźliwym głosem przez p. sierżanta, zabraliśmy się wszyscy do stawiania ziemianki. Pan sierżant nie powiedział tego, że belki są może za cienkie, że drzewo zresztą jest świeże, mokre i giętkie. Przeciwnie, ani mu pewnie przez myśl nie przyszło, czy też materjał później wytrzyma na sobie cały ciężar ziemi.

We wnętrzu, wzdłuż prostokąta po jednej i tak samo drugiej stronie, wkopaliśmy po dwa słupki, tworząc z nich formę stożka. Wierzchołki połączyliśmy oddzielną belką tak, że właściwy szkielet był już gotowy. Wyglądał on, jak rozpoczęty dach na zwykłej jakiejś budowli. Przestrzeń całą od stożka do stożka z jednej i drugiej strony, zakładaliśmy znowóż belkami, aby na nich później można było położyć ciężkie darnie i zasypać grubą warstwą ciężkiej ziemi i w ten sposób zabezpieczyć ziemiankę od pocisków oraz odłamków szrapneli. Głębokość wykopanego dołu, wynosiła około półtora metra. Cały stożek pozostawał na wierzchu.

Po ułożeniu wierzchnich darni, belki poczęły się już uginać i pan sierżant zauważył to także. Mimo jednak obficie spływającego po twarzach potu, pan sierżant nie dawał nam spoczynku, ani wytchnienia. Pędzeni krzykiem naganiającego głosu, z wysiłkiem zasypaliśmy stożek ziemią. W tem — załamaniem się jednej środkowej belki, cała ziemianka momentalnie runęła, przykrywając sobą jednego z bardzo dzielnych kolegów.

Potwierdzenia właściwego jego nazwiska nie mogłem dotychczas od nikogo wydobyć. Z tego co przypominam sobie, nazywał się „Piotr Kowalewski". Pochodził z armji rosyjskiej. Do nas przybył jako uciekinier Polak, chcący oddać swe usługi polskiej sprawie. Wyróżniał się nadzwyczajną odwagą i męstwem. Wszędzie rwał się na ochotnika, nie bacząc nawet na największe niebezpieczeństwo. Już u nas dosłużył się stopnia kaprala i odznaczony został austrjackim złotym medalem. Z bardzo ciężkich i trudnych wojennych opresji, wychodził cało i z pomyślnym rezultatem. Dzięki takiemu niespodziewanemu wypadkowi, pan sierżant nie doczekał się już spodziewanej pochwały, a zamiast niej, z pewnością do dzisiaj, trup kolegi towarzysza broni, ciąży mu tylko wyrzutami sumienia.

(C. d. n.)

Dr. JAN ROGOWSKI.

DZIEJE WOJSKA POLSKIEGO NA SYBERJI

Pułk pierwszy im. T. Kościuszki tworzył się wówczas, gdy w całej Rosji panował okropny chaos, rozbicie straszliwe, spowodowane rewolucją i bolszewickim terorem. I z tego chaosu, jakby z fal jakiegoś potwornego oceanu, z fal jakiegoś potopu wyłaniać się począł Czyn polski — niby jakaś skała — przystań, do której spieszyć poczęły ptaki znękane, ptaki rozbitki polskie, których losy Wielkiej Wojny zapędziły gdzieś na krańce świata.

Po stworzeniu 1-go pułku Strzelców polskich, ochotnicy napływali z zdwojoną szybkością. I wówczas major Skorobohaty, dowódca 1 pułku strzelców polskich, wystąpił z inicjatywą, ażeby z napływających ochotników stworzyć tak zwaną kompanję

szkolną, celem przygotowania kadry podoficerskiej dla następnych, mających formować się pułków.

Dowódcą owej kompanji szkolnej został porucznik Jaworski.

Kompanja z napływem ochotników rozrosła się w Baon Szkolny o trzech kompanjach. Miejscem postoju Baonu był do połowy października 1918 r. — Bogurusłań.

Tymczasem na froncie zaszły wypadki o znaczeniu zasadniczem. Oto wojska bolszewickie przeszły do ofenzywy, a ofenzywa rozwijać się poczęła w sposób gwałtowny, świadczący z jednej strony o tem, że siła jest po stronie bolszewickiej — z drugiej zaś strony i o tem także, że wojska „białe" ani nie są dobrze zorganizowane, ani ich nastrój moralny, ich „morale", nie stoi na wysokości zadania.

Front wojsk „białych" począł pękać pod naporem bolszewickim i wówczas już pojawiły się te rysy zatrważające, które świadczyły, że budowa wznoszona przez admirała Kołczaka, musi runąć.

Podstawą akcji ówczesnego dyktatora rosyjskiego, był Sybir; miał on się stać naprawdę podstawą operacyjną, skąd miała wyjść akcja oddziałów „białych" celem przywrócenia tronu carów.

A tymczasem akcja ta poczęła drzeć w swoich podstawach.

Oto bolszewicy zdobyli dwa ważne miasta Samarę i Buzułuk — i poczęli przeć naprzód.

Po wzięciu Samary i Buzułuka, front bolszewicki przybliżył się do Uralu, a wówczas organizacji młodego wojska polskiego w Bogurusłaniu zagrażać poczęło niebezpieczeństwo; wszak Bogurusłań położony był na wschód od Samary a więc znajdował się blisko frontu. Rzecz oczywista, że bliskość frontu nie mogła sprzyjać spokojnemu tworzeniu się i organizowaniu oddziałów polskich.

W pełnem więc zrozumieniu powagi chwili, w pełnem poczuciu odpowiedzialności za losy wojska — zarządziło Naczelne Dowództwo Wojsk Polskich — przeniesienie całej akcji za Ural, na Syberję właściwą i wybrało miasto Nowo-Nikołajewsk jako nową siedzibę oddziałów polskich.

Pobyt w Nikołajewsku pozwolił na dalsze spokojne formowanie Wojska Polskiego. Po przybyciu do Nowo-Nikołajewska nad rzeką Obem — Baon Szkolny rozkazem z dnia 10. listopada 1918 roku został przemianowany na „2-gi pułk Strzelców Polskich na Syberji", o składzie dwóch baonów, oddziału ciężkich karabinów maszynowych, oddziału łączności, kompanji zafrontowej, ambulansu i taborów pod dowództwem pułkownika Dunina Marcinkiewicza.

A był to miesiąc listopad roku 1918. Listopad — brzemienny w wypadki olbrzymiej doniosłości...

Wszak to okres rozbrajania Niemców na ziemiach polskich; okres tworzenia się prawowitej Władzy Polskiej w Warszawie. Były to dni, gdy na ulicach Lwowa wrzały zaciekłe walki z Ukraińcami; gdy na naszych ziemiach wschodnich błyszczyć poczynał zwycięsko oręż polski...

Zda się, że olbrzymie te wypadki znalazły swój oddźwięk na Syberji, wśród żołnierstwa polskiego, w Nowo-Nikołajewsku, nad rzeką Obem.

Budziła się Polska do życia i wraz powstawały oddziały polskie, jakby różdżką czarodziejską z pod ziemi wywołane...

A jednym z takich oddziałów był świeżo utworzony „2 gi pułk Strzelców Polskich na Syberji". Pułk ten liczył kilkudziesięciu oficerów z b. armji niemieckiej, austrjackiej, rosyjskiej, z b. korpusu I-go i II go, oraz kilkuset szeregowych, pochodzących z najrozmaitszych armji i formacji. Warunki, w jakich pułk formował się, organizował — i żył, były czasami nawet bardzo ciężkie.

Przedewszystkiem uzbrojenie pułku składało się z karabinów wszelakich systemów, co było bardzo niedogodne, bo utrudniało w wysokim stopniu wyszkolenie żołnierza.

Również umundurowanie było najróżnorodniejsze, bo z różnych armji, z różnych oddziałów i formacji pochodzące.

Dodać jeszcze należy, że umundurowanie to pozostawiało bardzo wiele do życzenia; żołnierz nieraz z powodu lichego odzienia narażony był na zimno i chłód. Zajmował pułk drewniane koszary, w których w zimie przeciętna temperatura sięgała do 0° C.

Wszystkie te jednak trudy i niewygody znosił żołnierz polski z podziwu godną wytrwałością, cierpliwością i siłą.

Sprawa zaczęła się polepszać z chwilą przybycia misji francuskiej z generałem Janinem na czele. Generał Janine, jako szef misji francuskiej i głównodowodzący wojsk koalicyjnych na Syberji, musiał wywierać wpływ wielki na dalsze losy oddziałów polskich.

Przedewszystkiem sprawa uzbrojenia i umundurowania wstąpiła na lepsze tory.

Wprowadzono jednolite umundurowanie francuskie, koloru niebieskiego, a także nastąpiło ujednostajnienie uzbrojenia w karabiny japońskie, model Arisaka 05.

Te wszystkie ulepszenia miały skutki bardzo doniosłe dla pułku, który stawać się poczynał coraz lepszą, coraz poważniejszą jednostką bojową.

Z początkiem roku 1919, 2-gi pułk powiększył się o III-ci Baon, kompanję wywiadowczą, kompanję łączności, pluton techniczny i orkiestrę.

W ten sposób „2gi pułk Strzelców Polskich na Syberji" otrzymał pełne uposażenie bojowe, pomyślane i wykonane według najlepszych nowoczesnych wzorów państw Zachodniej Europy.

Dowódcą pułku został mianowany dzielny podpułkownik Kadlec b. oficer armji austrjackiej, który w późniejszych bojach wojska polskiego na Syberji odznaczył się i inicjatywą wielką i męstwem.

Dla organizacji „2-go pułku Strzelców Polskich" położył on wielkie zasługi.

Wyżywienie dzienne składało się z śniadania, obiadu i kolacji.

Porcja dzienna wynosiła:

Chleb 600 gramów, Mięso 400 gr., Jarzyny 300 gr., Kasza 115·5 gr., Korzenie 0·5 gr., Tłuszcz 50 gr., Cukier 75 gr., Mąka do przyprawy 17 gr., Sól 25 gr., Herbata 4 gr. — Razem 1.588 gramów.

W kwietniu roku 1919 pułk liczył 72-ch oficerów, 286 podoficerów, 1300 szeregowych, 14 C. K. M. (ciężkich karabinów maszynowych) i 77 koni.

Można powiedzieć, że organizacja wojska osiągnęła poziom dosyć wysoki. Wojsko to było już naprawdę zdolne do akcji czynnej, a kierowane przez dzielnych oficerów gotowało się do wystąpienia w pole.

(C. d. n.).

Wspomnienia Legjonisty ze służby w armji austrjackiej.

W Włoszech w miejscowości Biccinico, mieściła się kadra polowa 56 pp. Do tej kadry została przydzielona jedna komp. 13 baonu jegrów.

W kompanji tej znajdowało się kilkunastu byłych leg. — Jak wiadomo — po uwolnieniu legjonistów z obozu jeńców na Węgrzech, w r. 1918, rozrzucono ich po różnych pułkach armji austr. Dowódcą komp. był czech, podpor. Misaż, który odnosił się sympatycznie do Legjonistów.

W miesiącu sierpniu przypadały imieniny cesarskie. Z tej okazji urządzono nabożeństwo polowe, na które przybyły kompanje pułku 56. i 91. oraz wspomniana kompanja. Po odprawieniu Mszy Św., kapelan wygłosił kazanie. Jako prawy polak (nazwisko nie jest mi znane), wspominał Królowę Korony Polskiej, modły Sobieskiego przed wyprawą na Wiedeń, a wreszcie jak Kościuszko szable święcił przed obrazem Częstochowskiej.

Po skończonym nabożeństwie zestępującego ze stopni ołtarza, kapelana, zapytuje kapitan Schelenberg — dowódca kadry. — Już koniec?

— Koniec.

— To mogą zaśpiewać „Boże wspieraj".

— A mogą. — Odpowiada kapelan.

— Lepiej „Boże coś Polskę" pada głos z szeregów komp. jegrów. — To były legjonista Sadlik z Białej. —

W kapit. Schelenberga i stojących obok oficerów jakby grom uderzył. Wzdrygnął się i poczerwieniał, a tu na dobitek nikt śpiewać nie rozpoczyna.

Dopiero po małej przerwie kilkanaście głosów żołnierzy innych narodowości, zwłaszcza czechów, z boleściami odśpiewało hymn austrjacki.

Następnie kapitan urządził alarm na błoniach, oczywiście biegiem — a potem zgromadził wszystkich i trzymał „Dienstspräche". — Kto to był ta ludzia, ta „świnia". Jo wiem to inne wiatry, to nie nasza ludzia. Ja zatrzymać wszystkie urlopy! Co dwie godziny alarm robić, a tego dać pod sąd!...

Cisza. Nikt nie wyjawia „przestępcy". Kapitan ochłonął nieco, ale śledztwo prowadzi dalej. — Dlaczego wszyscy nie śpiewać?... to nieprawda, że nieumieć... to w szkole śpiewać... a teraz „einjerygery" uczyć śpiewać wszystkich „Boże wspieraj".

Po lekcji odmaszerowaliśmy do kwater, poczem powtarzano alarmy. Wreszcie starzy żołnierzy austrjaccy znużeni zaczęli szemrać, iż za jednego wszyscy cierpią. Wtedy leg. Sadlik sam się zameldował do kapitana. Natychmiast został aresztowany. Alarmy zostały odwołane. —

Spodziewaliśmy się przykrych następstw. W rozkazach czytywano często o rozstrzelaniach żołnierzy za bunt

Tu stało się inaczej Po dwóch dniach przybył oficer z dowódz. korpusu, przyjął raport aresztowanego i rozkazał go wypuścić. Potem rozmawiał jeszcze z jednorocznymi byłymi leg., robiąc nadzieje wyjazdu na tyły, do kadr na instruktorów musztry, gdyż wojska dostaną komendę w języku narodowym.

Widocznie w Wiedniu, na widowni była „Federacja".

Maj Antoni.

Losy Legjonisty

Przed sądem dywizyjnym w Morawskiej Ostrawie odbyła się w marcu 1915 r. rozprawa przeciw pospolitakowi Janowi Bardyniewiczowi, oskarżonemu o dezercję.

Bardaniewicz wstąpił z początkiem wojny do Legjonu i odbył całą kampanję karpacką. Po wyleczeniu się z ciężkiej rany, otrzymanej w głowę pod Kirlibabą, wysłano go na front włoski, gdzie odbył najcięższą kampanję, a ranny, po dziewięciu miesiącach szrapnelem w głowę odesłany został do kraju.

Gdy wyzdrowiał, przydzielono go do 22 pułku strzelców, stacjonowanego we Frydku. Pułk ten składa się wyłącznie z Rumunów i Rusinów. Oskarżony, nie znając języka kolegów i przełożonych, narażony był na prawdziwe męki. Prześladowany i bity przez feldfebla i podoficerów, nie mogąc dłużej wytrzymać gnębienia mimo swej bezradności uciekł 1. października do Bielska, gdzie się 2. października zgłosił sam w bataljonie zapasowym pułku piechoty Nr. 55 z prośbą, by go tam pozostawiono i przydzielono do najbliższej marszkompanji. W tym samym jednak jeszcze dniu odtransportowano go do Frydka. Na rozkaz komendanta kompanji, kapitana Włodzimierza Dragana wtrącono go do więzienia i nałożono „szpangi".

Po czterech dniach uwolniono aresztowanego o tyle tylko, że ze stęchłej i mokrej piwnicy przeniesiono go do koszar i łańcuchami przywiązano do pieca.

Aresztowany musiał codziennie wychodzić na ćwiczenia z łańcuchami na nogach.

Dnia 25. października udało się oskarżonemu zdjąć kajdany i razem z drugim skazańcem Antonim Morozem uciec do Lwowa.

W czasie rozprawy wszyscy świadkowie zeznawali na niekorzyść kapitana Dragana. Nie tylko przeklinał on i przezywał żołnierzy, ale bił ich często po twarzy, tak silnie, że krew rzucała im się nosem i ustami, a jakkolwiek szpangi były już w Austrji zakazane, kazał je nakładać żołnierzom, a sam kontrolował codzień, czy są dobrze nałożone i natrząsał się ze skazanych pytając, czy im kara smakuje?

Sąd dywizyjny uznał Bardyniewicza winnym zbrodni dezercji i skazał go na dwa miesiące więzienia. Kara została odbyta przez więzienie śledcze.

WYKAZ LEGJONISTÓW

zmarłych z ran lub chorób i pochowanych w czasie wojny przed 1. listop. 1918 r. na terenie Województwa Lwowskiego i Tarnopolskiego.

Boratyński Teofil, wachm. 2 p. uł. leg. 2 szw. zmarł 22/X. 917, przynależny do Tarnowa, lat 23, urodz. w Nowym Sączu, pochowany na cmentarzu w Przemyślu. Dobrzański Wojciech leg. 1/3 baon Strzelców polskich, zmarł 10/IX. 914, lat 26, pochowany na cmentarzu w Rzeszowie. Erick Leo, leg. zmarł 12/VIII., pochowany na cmentarzu w Rzeszowie. Gwoździkiewicz Franciszek, leg., 1 p. leg. kolumna prow. zmarł 5/X. 917, przynal. do Morawskiej Ostrawy, 17 lat, pochowany na cment. w Przemyślu. Ignasik Stanisław leg. zmarł 7/IV. 1916, przynależny do Tarnowa lat 22, pochowany na cm. w Rzeszowie. Kornasiewicz Stanisław leg. 6 p. leg. zmarł 25/II. 918, przynależny do Stryja, pochowany na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Krośniewski Franciszek leg. 6/1 p. kaw., zmarł 17/XII. 915, pochowany w Jarosławiu, na cmentarzu Centralnym. Kozerski Mieczysław, leg. 4 p. leg., zmarł 9/VIII. 915, pochowany na cmentarzu w Rzeszowie. Macedoński Osyp, leg., zmarł 11/VIII. 917, urodzony 1896, pochowany w gm. Burdziakowce, pow. Borszczów. Madej Kazimierz, leg. 4 p. leg. 1 komp., zmarł 15/VIII. 915, pochowany na cmentarzu w Rzeszowie. Maślukiewicz Michał, leg. 5 p. leg., zmarł 31/XII. 918, przynależny do Jaryczowa nowego, pochowany na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Misztal Władysław, leg. 2 p. leg. 5 komp. zmarł 14/V. 918, przynal. do Woli dolnej, pow. Łańcut, lat 21, pochowany na cmentarzu w Przemyślu. Nowoświecki Stanisław leg.-starszy, 3 p. leg. 4 komp., zmarł 3/IX. 917, przynal. do Żółkwi, 22 l. pochow. na cmentarzu w Przemyślu. Packiewicz Kazimierz leg. 3 p. leg. 6 komp., zmarł 8/IX., przynależny do Wilna, 20 lat, pochowany nacmentarzu w Przemyślu. Pełdyak Władysław, por. leg., zmarł 5/X. 918., przynależny do Gokowa pow. Rzeszów, 31 lat, pochowany na cmentarzu w Rzeszowie. Pietrasz Marcin, leg. 1 p. art. leg., zmarł 28/XII. 917, pochowany w Jarosławiu cmentarz centr. Pietruski Eustachy, leg., 19/X. 915. zmarł, lat 22, pochowany na cmentarzu w Rzeszowie. Piliński Kazimierz, leg. 3 p. leg. 1 k., 14/X., przynależny do Komarna, 18 lat, pochowany na cmentarzu w Przemyślu. Pistka Michał, leg., 4 p. legjonów, 7 komp., zmarł 20/XII. 915, pochowany w Jarosławiu, cmentarz centralny. Słowikowski Eugeniusz, leg. 4 p. p. 4/VII. 917, pochow. w gm. Matowo, pow. Podhajce. Smorski Rehor, leg. 4 p. p. zmarł 4/XI. 917, pochowany w Brzeżanach. Sternberg Oskar, leg. 4 p. p., zmarł 13/I. 918, przynależny do Morawskiej Ostrawy, 27 lat, pochowany na cmentarzu w Przemyślu. Świerk Bronisław, plut. 3 p. leg. oddz. telef., zmarł 12/IX. 917, przynależny do Dębicy, 21 lat, pochowany na cmentarzu w Przemyślu. Szala Marcin leg., zmarł 18/X. 918, przyn. do Pobitna, pow. Rzeszów, lat 30, pochow. na cmentarzu w Rzeszowie. Szcześniński Wacław, leg. 2 p. leg. 3 kom., zmarł 23/V. 1916, przynależny do Łodzi, pochow. na cmentarzu w Nisku. Szyszka Jan, leg., zmarł 12/IX. 918, przynależny do Janowa lat 33, pochowany na cment. w Przemyślu. Toth Istwan, leg. 2 p. uł. leg. 1 szwadr. zmarł 8/X. 917, przynal. do Tardoskedd, kom. Nyitra, Węgry, 50 lat, pochowany na cmentarzu w Przemyślu. Trojnacki Teofil, leg. 3 p. leg. kol. prow., zmarł 27/IX. 917, przynależny do Dąbrowicy, pow. Tarnobrzeg, 50 lat, pochowany na cmentarzu w Przemyślu. Tymecko Wiktor, leg. zmarł 8/V. 918. przynależ. do Rzeszowa, lat 20, pochow. na cmentarzu w Rzeszowie. Warchoł Michał, st. leg., Baon uzup. leg. zmarł 26/XI. 917, przynależny do Sambora, urodził się w Nadybach pow. Sambor, 22 lat, pochowany na cmentarzu w Przemyślu. Węglowski Florjan, ppor. poległ pod Rafajłową, 27/I. 915, przynależny do Rzeszowa, 26 lat pochowany na cmentarzu w Rzeszowie. Zaworski Teodor, leg. 3 p. leg. 4 komp., zmarł 3/IX. 1917, przynależny do Siedlenina, Jarołochin, Poznań 28 lat, pochowany w Przemyślu. Żak Jan, I. bryg., sztab. oddział, pochow. 13/X. 917, przynależny do Ciężkowic, pow. Chrzanów, pochow. na cmentarzu w Przemyślu.

Ś. p. generał-doktór

Stefan Buchowiecki

Urodzony dnia 12 maja 1863 r. w majątku Sokołów, powiatu słonimskiego, odbywa studja w 8 kl. gimnazjum filologicznem w Siedlcach, składając egzamin dojrzałości w 1884 r., następnie ukończył wydział lekarski z dyplomem w uniwersytecie warszawskim w r. 1890.

Do roku 1896 praktykuje jako lekarz w Bodżentynie, gdzie walczy niestrudzenie z epidemją cholery, mając punkty w Pińczowie, w Busku. Tu też rozpoczyna pracę społeczną, zakładając bibljotekę latającą. W r. 1896 przenosi się do Olkusza, gdzie zajmuje się praktyką prywatną i obejmuje stanowisko lekarza szpitalnego Św. Błażeja, pozostając na tem stanowisku do wybuchu wojny europejskiej. W tym okresie czasu zakłada resursę olkuską, a przy niej muzeum geologiczne, pracuje w Tow. Dobroczynności, krajoznawczem, Tow. Miłośników zabytków przeszłości; w porozumieniu z dr. Jaworskim z Warszawy stawia w tajemnicy na cmentarzu olkuskim pomnik na grobie Włocha powstańca, pułkownika Franciszka Nullo, poległego pod Krzykawką w 1863 r.

Z chwilą wybuchu wojny i pojawienia się w Olkuszu dnia 6. VIII. 1914 r. pierwszych emisarjuszy — Jura Gorzechowskiego, prof. Kiernika i dr. Koźniewskiego, wstępuje do Legjonów Polskich Piłsudskiego, jako szeregowiec.

Dnia 14. X. 1914 r. zostaje mianowany podporucznikiem i obejmuje czynności lekarza szpitala i ambulatorjum legjonowego w Krakowie. Wkrótce otrzymuje stopień porucznika i organizuje szpitale polowe I B-dy w Morawskiej Ostrawie, Bystrzycy i Wendryni, będąc ich naczelnym lekarzem.

Potem obejmuje kierownictwo emisarjatu werbunkowego w Olkuszu, później odchodzi jako lekarz III bataljonu uzupełniającego do Rozprzy, a na-

Gen. B-dy Dr. Stefan Buchowiecki

stępnie mianowany kapitanem zostaje naczelnym lekarzem 6 p. p. Legjonów, z którym wychodzi na front, uczestnicząc we wszystkich bitwach pułku i będąc kontuzjowany w bitwie pod Kostiuchnówką w grudniu 1915 r. Tamże otrzymuje szereg rozkazów pochwalnych za waleczność i pracę lekarską. Zachorowawszy na zapalenie stawów, odchodzi z frontu, organizuje szpitale i dowodzi niemi kolejno w Kamińsku, Dęblinie i Żyrardowie, na których to stanowiskach otrzymuje podziękowanie i pochwalne uznanie komendy Legjonów.

W grudniu 1917 r. mianowany majorem i naczelnym lekarzem Obozu legjonowego w Zegrzu, a potem w Ostrowie, Komorowie, obejmuje następnie stanowisko Szefa Sanitarnego I B-dy Wojsk Polskich.

Po rozbrojeniu Niemców odchodzi na stanowisko Szefa Sanitarnego D. O. G. Kielce, a stąd na stanowisko zastępcy dowódcy Szpitala Okr. Mokotowskiego Nr. 1 w Warszawie. Mianowany podpułkownikiem zostaje dowódcą tegoż szpitala, na którem to stanowisku pozostaje do dnia 16. VII. 1922, otrzymując szereg pochwał dowódcy Korpusu Nr. 1, jak i szefa sanitarnego.

Dnia 17. V. 1922 r. dekretem Wodza Naczelnego zostaje odznaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari za bohaterstwo z czasu pobytu na froncie, oraz 31. VII. 1922 r otrzymuje po raz pierwszy i drugi Krzyż Walecznych. Od 16. VII. 1922 r. aż do zwolnienia w stały stan spoczynku t. j. do 30. VI. 1925 r. zajmuje stanowisko przewodniczącego Stałej Komisji rewizyjno-lekarskiej w Warszawie, otrzymuje i na tem stanowisku szereg pochwał i uznanie za pracę z całem zaparciem się, sumiennością i gorliwością mimo nadwątlonego stanu zdrowia.

W tym też czasie zakłada wraz z księdzem Ugniewskim Komitet Fundacji Im. Ojca Świętego dla Polskich Inwalidów Wojennych.

Po zwolnieniu na emeryturę wraca do Olkusza; tu obok praktyki lekarskiej bierze żywy udział w pracy społecznej, ujmuje jej ster w swoje ręce i pracując do końca — wskrzesza resursę olkuską, i zostaje jej prezesem; jest prezesem „Strzelca", współzałożycielem i prezesem Banku Spółdzielczego w Olkuszu, Koła Macierzy Szkolnej i Tow. Dobroczynności, radnym miasta, członkiem Zarządu Tow. przeciwgruźliczego, wreszcie zakłada w Olkuszu oddział partji pracy, którego jest prezesem.

Już będąc ciężko chorym i widząc nieuniknioną śmierć, troszczy się o sprawy społeczne i wydaje w tym kierunku dyrektywy. Cały czas daje Kolegom lekarzom wskazówki co do swej choroby i upoważnia ich do przeprowadzenia sekcji swych zwłok dla dobra wiedzy. Ostatnie chwile Jego cechuje pogoda i przytomność umysłu, działa w tym duchu na swe otoczenie, przygotowuje się na śmierć z filozoficznym spokojem. Będąc żołnierzem do końca dyktuje swój ostatni raport do ukochanego Wodza Duchowego Marszałka Piłsudskiego: „Panie Marszałku, melduję posłusznie swoje odejście na zawsze" i nakazując dzieciom nieść swe postulaty umiera z uśmiechem na ustach dnia 9-go kwietnia o godz. 24-tej, osierocając żonę Wieńczysławę z Miłkuwskich i dzieci: Jolantę Ostrowską, Marję Kefersteinową i Janusza ppor. artylerji.

Cześć Jego pamięci!

Dla Ciebie Polsko!

Ś. p. ppor. Kalinowski Karol, ur. w r. 1896, Strzelec i Legjonista z 3 pp. Leg. Pol., walczył w II giej Bdzie do czasów przejścia Bdy, potem brał udział w Obronie Lwowa i Kresów również w 3 pp. Leg. Bije się na Litwie i Białejrusi, pod Mińskiem i Borysowiem, aż wreszcie w przeddzień wyjazdu na urlop na czele 4 komp. padł, raniony w płuca. Pochowany w listopadzie 1919 r. w Nowym Borysowie.

Ś. p. Zawadzka Anna, zasłużona w Obronie Lwowa — na IV. Odcinku, skromna, małomówna, niezmordowana, karna i troskliwa o każdego żołnierza, wyruszyła z 4 pp. Leg. i przy zdobywaniu Mińska — zginęła w czasie opatrywania rannych, z wrażej kuli dnia 9 sierpnia 1919 r. — jako sanitarjuszka szturmowej komp. 4 pp. Leg.

Ś. p. por. Korczak Józef (Piotr), dca komp. w 201 p. p., poległ dnia 18-go października 1919 r. w bitwie pod Michniszkami w Wileńskiem.

Już w 1913 r. należał ś. p. por. Korczak do Związku Strzeleckiego, po wybuchu wojny wszedł do szeregów legjonowych gdzie przeszedł całą kampanję tych czasów. Całem swem życiem i swoją waleczną

śmiercią dał wymownie przykład obowiązku żołnierza i idei strzeleckiej.

Po śmierci wydana została praca Jego p. t.:

„Wskazania przyszłości" w której propaguje ideę wojska i Strzelców — jako zagadnienie mocarstwowości Polski.

Ś. p. kpt. Kulczycki Jerzy, dca 5/36 pp., padł na polu bitwy dnia 20 października 1919 r. pod Połockiem. Jako młody akademik we Lwowie poświęcał się pracy oświatowej na wsi a dnia 10. sierpnia 1914 r. był już w 10 komp. I. Bdy Piłsudskiego. Brał udział we wszystkich bitwach i marszach I. Bdy. Od jesieni 1917 roku pozostaje w Szkole Podchorążych a w listopadzie 1918 roku już w wojsku polskiem bierze czynny udział w walkach o granice Państwa — odznaczając się zwłaszcza w Bełzie (Obrona Lwowa).

Był to jeden z najlepszych żołnierzy, którzy przeszli szkołę wojskową w Legjonach, by potem w wolnej Polsce oddać swe usługi i życie.

Ś. p. mjr. Dąbrowski Marjan, ur. w 1882 r.

zmarł 30 września 1925 r. w czasie urlopu w Kossowie, pochowany w Warszawie 6 października 1925 r.

Ś. p. mjr. Dąbrowski już na ławie szkolnej oddawał się pracy publicznej, kontynuując ją do ostatniego dnia swego życia, Należał do jednych z pierwszych członków P. P. S., której pod pseudonimem „Edward" przysłużył się znakomicie. Zmuszony emigrować — znalazł się w Belgji, gdzie brał żywy udział w życiu studenckiem, a także w organizacjach wojskowych. Pisywał do wielu pism w kraju, korespondencje Jego budziły ogólne zainteresowanie. Pierwszorzędnej wartości jest dzieło jego wydane w 1913 r. p. t. „Dzieje utworzenia państwa belgijskiego", pozatem liczne korespondencje w „Przedświcie", „Krytyce", a także w codziennych pismach jak w „Naprzodzie", „Wieku Nowym", „Kurjerze Lwowskim" i t. d. były swego czasu nakazami do wojskowego organizowania się szerokich kół młodzieży.

W 1914 r. wśród wielkich trudów wraca do kraju i staje do walki w Legjonach. Początkowo w organizacji Królestwa, później w Departamencie i w I. Brygadzie, gdzie przeszedł całą kampanję. Jego korespondencje z pola walki były misternymi rapor-

tami z walk i życia I. Bdy; są one niejednokrotnie podstawą do odpracowań taktycznych z tych czasów. Pozatem budził ś. p. mjr. Dąbrowski ducha narodowego w wojsku i organizując dział kulturalno-oświatowy w Legjonach a potem w wojsku polskiem, położył ogromne zasługi w służbie oświatowej.

Napisał wiele większych i mniejszych prac jak: „Żołnierz I. Bdy", „Wyrwa-Furgalski", „Lis-Kula", „Różaniec życia i śmierci", „Prawda o Bolszewikach", „Rzym i Carogród" i wiele innych.

Był to entuzjasta prawy, pełen inicjatywy, ruchliwy i ogólnie lubiany i ceniony oficer, który przez swe życie wysoko dzierżył sztandar pracy i poświęcenia dla Polski, miłując nadewszystko wojsko polskie.

W kwietniu b. r. odbyło się w Warszawie na Cytadeli w Ognisku Żołnierskiem otwarcie bibljoteki dla szeregowych im. śp. mjra Marjana Dąbrowskiego. Jestto najpiękniejszy kwiat na mogile majora, ukochanego przez szerokie masy żołnierskie, a pamięć Jego przez długie lata pozostanie w wojsku, dla którego żył i pracował!

Cześć Mu!

Od Administracji.

Czytelników prosimy o nadsyłanie nam opisów z przeżycia własnego w czasie walk o Polskę. Pamiętniki własne i towarzyszy broni będziemy drukować b. chętnie.

Rodziny poległych prosimy o życiorysy i fotografje naszych bohaterów.

Związki i Stowarzyszenia prosimy o powiadomienie członków, że jedyne pismo w Polsce „Panteon Polski" zamieszcza historję czasów 1914 do 1920. Przesyłajcie więc opisy i fotografje z tych czasów naszych wysiłków.

Każdy czytelnik „Panteonu Polskiego" powinien zjednać jednego czytelnika, by w ten sposób przyjść z pomocą pismu, które wśród bardzo ciężkich warunków materjalnych dąży do ukończenia rozpoczętej pracy poświęconej Czynowi żołnierza polskiego i Czci poległych.

Zgłoszonych nowych prenumeratorów wymieniać będziemy w „Panteonie".

Z powodu zmiany kwartału przypominamy P.T. Czytelnikom, że przedpłata na II kwartał wynosi 2.40 gr. **i prosimy kwotę tę wysłać załączonym czekiem P. K. O. Nr. 152.930.**

Prosimy o wczesne nadesłanie tej drobnej kwoty. Zalegających prosimy o wyrównanie należytości za 1926 r. i I kwartał 1927 r.

Kto niema zamiaru prenumerować „Panteonu" — niechaj zwróci nam ten zeszyt.

Zamówienia na indeks przyjmujemy stale. Komplety „Panteonu Polskiego" z 1924 wyczerpane, z 1925 r. są w cenie po 25 zł., z 1926 r. 6·50 opłatnie.

Adres: Lwów, Skrytka 98, telefon 22-90. Wydawca przyjmuje codziennie między 4 a 5-tą po południu przy ulicy Listopada 81.

Poszukujemy Nr. 2 i 4 z 1924 roku. Zapłacimy chętnie podwójną cenę. — Zgłoszenie do Administracji Lwów, Skrytka 98.

Józefa Piłsudskiego — Życie i Czyny w 40 obrazach (32 stron druku) nieznane fotografie, piękne myśli i słowa Komendanta. Zamawiajcie! Cena 1 zł. Adres: Panteon — Skrytka 98 Lwów.

Na ukończeniu jest większa praca — zawierająca **pseudonimy** członków **Zw. Strzeleckiego, Drużyn Strzel., Legionistów i Peowiaków.** Ktokolwiek miał „pseudo" lub wie o „pseudach" kolegów, niechaj przeszle do redakcji „Panteonu" — podając formacje w której służył wymieniony.

Kto uiści prenumeratę do końca b. roku ten otrzyma jako premię „Album, zawierające 40 ilustracji z życia i czynów J. Piłsudskiego".

Każda biblioteka powinna posiadać „Bibliografię J. Piłsudskiego". Cena 2·50 opłatnie. Nabyć można w administracji „Panteonu".

POLECAMY:

„Kurjer Poranny"

Warszawa, ul. Marszałkowska 48.

b. dobrze poinformowane pismo codzienne

DROGĘ mies. poświęcony sprawie życia polskiego pod red. A. Skwarczyńskiego.

Warszawa — Chmielna 33.

Bogata w treść, rozważa zagadnienia państwowe, narodowe i społeczne.

DROGA zasługuje na poparcie ogółu społeczeństwa, któremu na sercu leży budowa Nowej Polski

LOTNIK

Organ Związku Lotników Polskich

ILUSTROWANY TYGODNIK

poświęcony Lotnictwu i Technice Lotniczej

Poznań, Stary Rynek 95/II.

Miesięcznie 2 złoty.

Zakład artyst. - graf. „A R S"

LWÓW, SYKSTUSKA 32.

wykonuje

artystyczne klisze

edno i wielobarwne dla ilustracji dzieł artystycz., dzienników, czasopism, anonsów, cenników, książek, widokówek.

TELEFON 35-24.

ZAKŁADY DLA PRZEMYSŁU METALOWEGO

J. ZACZKOWSKI i ST. DUBIŃSKI

LWÓW, ULICA MURARSKA L. 19.

TELEF. Nr. 37-01.

DOSTARCZAJĄ:

Motory Diesla, Motory ssąco-gazowe, Motory elektryczne, Turbiny, Lokomobile, Pompy

WYKONYWUJĄ:

Kompletne gazownie dla motorów ssąco-gazowych, Zbiorniki na wodę i ropę, Konstrukcje żelazne, Generalne remonty motorów i maszyn, Montaże.

Roboty ślusarsko-budowlane. Spawanie elektryczne i autogenem.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZ. Z. ZYGMUNTOWICZ. — ADR. RED. I ADMIN. LWÓW, SKRYTKA 98 — TEL. 22-90
KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. CYNKO-GRAF. „ARS", SYKSTUSKA 32. — DRUK. W. A SZYJKOWSKI ZIMOROWICZA 14.